Nr. 28. We Lwowie, Poniedziałek dnia 14. lipca 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Kryzis dyamentowa.

Handel dyamentami już obrobionymi znajdował się w Antwerpii do niedawna jeszcze na wyżynie niebywałej świetności. Tak niezwykły wzrost datuje się jednak dopiero od drugiej połowy bieżącego stulecia, podczas gdy jeszcze przed laty 50 stał on bardzo nisko. To pierwszorzędne stanowisko zajęła jednak Antwerpia głównie w skutek odkrycia min dyamentowych w Kaplandzie w r. 1863. W ścisłym związku ze stopniowem rozszerzaniem się a następnie ze wzrostem tego handlu i zjednywaniem coraz to większego pola zbytu dyamentom w Antwerpii szlifowanym, wzmagała się też ilość zawodowych rytowników i szlifierzy dyamentów, tak iż w roku 1871 było w samej Antwerpii około stu fachowych szlifierzy. W czasie jednak od roku 1873 de 1878 doszła i ta gałęź przemysłu do rozkwitu i odtąd stała się też Anwerpia jego głównem ogniskiem. Szlifierze dyamentów zarabiali z łatwością nawet po 3000 franków tygogniowo, a choć pociągani tak znacznym zarobkiem robotnicy, utworzyli wnet pokaźny legion szlifierzy, to pomimo tego mógł zarobić zręczny robotnik jeszcze zawsze do 2000 franków tygodniowo. Nic więc dziwnego, iż już w roku 1880 było w Antwerpii 2500 szlifierzy.

Atoli równocześnie spadła cena roboty ręcznej więcej jak o 60 procent, a jakkolwiek stosunki te zdawały się być tylko początkiem dzisiejszej kryzis dyamentowej, to jednak od tego czasu poczęła się stawać sytuacja z dnia na dzień coraz gorszą i to głównie z tej przyczyny, iż właściciele kopalń, chcąc za zgodną i wspólną zmową podnieść w górę cenę dyamentów, ograniczyli znacznie swe przesyłki. Nierznięte kamienie, które zaledwie tylko w małych ilościach na targi przychodziły, sprzedawać poczęto za olbrzymio wysoką cenę. Wynikiem niezwykłej świetności tej gałęzi przemysłu w Antwerpii było, że w najnowszych czasach istniało tam wiele zakładów rznięcia i szlifowania dyamentów, które ze względu na swą doskonałość i wzorowość urządzenia, nic do życzenia nie pozostawiały. Obecnie zawiesiła większa ilość tych zakładów skutkiem kryzis dyamentowej swe czynności i to w takim stopniu, iż ledwie 10 część szlifierzy dyamentów zajęcie i płacę znajduje, choć niektórzy z nich, prawdziwi zresztą mistrze w swym zawodzie, pobierają jeszcze teraz bardzo wysoką płacę, zarabiając zawsze do 1500 franków tygodniowo.

Szlifierze dyamentów są specjalistami w swem rzemiośle, że można ich nazwać prawdziwymi artystami. Szlifowanie dyamentów wymaga niezwykłej zręczności i bystrości robotnika, dokładności w wykonaniu a szczególniej doświadczenia. Nieobrobione kamienie bywają najpierw należycie sortowane a potem przez szlifierzy w ten sposób łupane i krajane, aby najlepsza część kamienia została w całości zachowaną; każdy bowiem nieobrobiony dyament posiada obok miejsc nienagannej wody, także miejsca mętne i plamiste a prócz tego inne także błędy. Oczywiście zyskuje dyament znacznie na swej wartości w ręku zręcznego szlifierza, który potrafi się z nim w odpowiedni obchodzić sposób. Krajane i szlifowane w Antwerpii dyamenty są też, ze względu na swą dokładność obrobienia, za granicą bardzo poszukiwane i wysoko płacone, tak, iż wychodzą zwycięzko w konkurencyi z dyamentami innymi, a nawet w Amsterdamie, szlifowanymi.

Z małymi tylko wyjątkami są szlifierze dyamentów ludźmi niezwykłej prawości i wyprobowanej uczciwości. Tworzą oni w Antwerpii stowarzyszenie, do którego mają przystęp tylko robotnicy pod każdym względem bez nagany i mają swój organ „Dyament", wychodzący miesięcznie a założony w celu popierania ich interesów. Obecnie zamierzają założyć także osobny syndykat. Każdy z członków tego stowarzyszenia jest dumnym ze swego rzemiosła; zdaje mu się jeszcze zawsze, że należy do cechu którego członkowie nosili w 16. stuleciu zarówno z malarzami szpady. Uwarza się więc słusznie za arystokratę wśród wszystkich stanów rękodzielników. I handlarze dyamentów tworzą w Antwerpii osobną korporacyę i klub, w którym codzienie odbywa się formalna giełda.

Lecz nietylko w Antwerpii panuje kryzis dyamentowa, bo uległ jej także i Amsterdam, który zajmuje pod względem tego przemysłu drugie z rzędu miejsce. Oprócz tych dwu ognisk handlu dyamentami, nie istniały inne w dawniejszych czasach a dopiero obecnie znanym jest przemysł szlifowania dyamentów we Francyi a mianowicie w Paryżu, w którym znajduje się trzystu do czterystu szlifierzy dyamentów, tudzież w Niemczech na mniejsze rozmiary, gdzie krają i szlifują dyamenty w Hanau mniejszej wartości. Możebnem jest oczywiście, że przy panującej w Antwerpii i Amsterdamie kryzis dyamentowej przeniesie się teraz znaczna część szlifierzy najzręczniejszych do Paryża, a wówczas straci Antwerpia niepowrotnie swą sławę światową, znalazłszy w Paryżu silne na tym polu współzawodnictwo. Ogólnie mają jednak nadzieję, że może kryzis ta tylko czasowo

nastała i że Antwerpia nie wypuści tak łatwo z rąk swych, choćby już dla samych względów ekonomicznych tej gałęzi przemysłu, na punkcie którego zawsze była dumną, mając za sobą tak świetną rzeczywiście przeszłość.

X.

KALEKA.

Wypadek ten zdarzył mi się około 1882 roku. Właśnie umieściłem się w kącie próżnego wagonu i zamknąłem drzwi w nadziei, że zostanę sam, kiedy nagle otworzyły się one i usłyszałem głos:

— Ostrożnie, proszę pana, tu właśnie krzyżują się linje; stopień jest bardzo wysoki.

Inny głos odpowiedział:

— Nie bój się, Laurenty, trzymam się rączki.

Później ukazała się głowa, ubrana w okrągły kapelusz i dwoje rąk, czepiając się skórzanych rzemieni i sukna, zwieszonych z obu stron drzwiczek, powoli podniosły wielki korpus, którego nogi dźwięczały na stopniach, jak laska o podłogę.

Kiedy nowoprzybyły wciągnął się do wagonu, zobaczyłem ze zwieszającej się materyi spodni malowany na czarno koniec drewnianej nogi, obok której ukazała się niebawem druga, taka sama.

Jakaś głowa wyjrzała z poza podróżnika.

— Czy panu wygodnie?

— Tak jest, mój chłopcze.

— Proszę; pańskie pakunki i kule.

I sługa, wyglądający na starego żołnierza, wszedł do wagonu, niosąc w rękach mnóstwo pakunków, owiniętych w czarny i żółty papier, starannie owiązanych i złożył je jeden po drugim w siatce po nad głową swego pana. Następnie powiedział:

— To już wszystko, proszę pana. Pięć pakietów. Cukierki, lalka, bęben, strzelba i pasztet.

— Dobrze, mój chłopcze.

— Szczęśliwej podróży!

— Dziękuję ci, Laurenty.

Sługa odszedł, zamykając drzwi, a ja popatrzyłem na mego sąsiada.

Mógł mieć lat trzydzieści pięć, chociaż włosy jego były prawie białe; z orderem legji, wąsaty, tęgi, dotknięty był zbytnią otyłością ludzi czynnych i silnych, których kalectwo unieruchomia.

Otarł czoło, odetchnął i patrząc na mnie uważnie, zapytał:

— Czy panu dym nie szkodzi?

— Nie, panie.

Znałem to oko, ten głos, tę twarz. Ale zkąd i kiedy? Bezwątpienia spotykałem tego człowieka, rozmawiałem z nim, ściskałem jego dłoń. Było to dawno, bardzo dawno, aż ginęło we mgle, gdzie umysł napróżno omackiem szuka wspomnień i ściga je jak niknące widzenia — napróżno. Sąsiad mój patrzył na mnie również z uporczywością i wytrwale, jak człowiek, który sobie przypomina coś, lecz niezupełnie.

Odwróciliśmy oczy, zażenowani upartem zetknięciem spojrzeń; po upływie kilku sekund, pod działaniem tajemniczego i zaciętego rozkazu pracującej pamięci, spotkały się znowu; wówczas odezwałem się:

— Mój Boże, czyby nie lepiej było zamiast obserwować się ukradkiem w przeciągu całej godziny, poszukać razem, zkąd się znamy?

Mój sąsiad odpowiedział uprzejmie:

— Masz pan zupełną słuszność.

Zaprezentowałem się:

— Nazywam się Henryk Benclair, sędzia.

Wahał się kilka sekund; poczem z tą niepewnością oka i głosu, jakie towarzyszą wielkim wysiłkom umysłu:

— A — powiedział — spotykałem pana niegdyś u Poincel'ów, przed wojną, dwanaście lat temu.

— Tak jest — czy pan jesteś porucznikiem Revalière.

-- Tak panie... Byłem nawet kapitanem Revalière, aż do dnia, kiedym stracił me nogi... obie odrazu kula mi urwała.

Spojrzeliśmy znowu na siebie po zawarciu znajomości.

Przypomniałem sobie doskonale, żem widział tego, niegdyś wysmukłego, pięknego chłopca, jak prowadził kotyljona ze zręczną i wdzięczną werwą. Ale po za tym obrazem, dokładnie zarysowanym, unosiło się coś niepochwytnego, jakaś historja, którąm znał i zapomniał, jedna z historyj, jakich słucha się życzliwie i niedługo i jakie zostawiają w umyśle prawie niedostrzegalne ślady.

Jakaś miłość była w tej sprawie. W głębi mej pamięci odnalazłem jej szczególne wspomnienie, ale nic nad to wspomnienie, podobne do kurzu, jaki z pod nóg zwierzyny uderza lekko nozdrza psa.

Powoli jednak mgła się rozwiała i przed memi oczyma wyrosła twarz młodej dziewczyny. Później w głowie mojej gwałtownie wybuchło jej nazwisko, jak zapalona petarda: panna de Mandal. Teraz przypomniałem sobie wszystko. Rzeczywiście była to historya miłosna, ale banalna. Młoda dziewczyna kochała tego młodego chłopca, kiedym go spotkał i mówiono o ich przyszłem małżeństwie. Wyglądał na bardzo zakochanego, bardzo szczęśliwego.

Podniosłem oczy ku siatce, gdzie wszystkie pakiety, przyniesione przez sługę mego sąsiada, drżały od uderzeń wagonu i przymniałem sobie głos sługi, jak gdyby dopiero co skończył mówić.

Powiedział on:

— To wszystko, proszę pana. Jest ich pięć: cukierki, lalka, bęben, strzelba i pasztet.

Wtedy w przeciągu sekundy w mojej głowie osnuł się i rozwiązał romans. Podobny był zresztą do tych wszystkich, którem czytał, gdzie młody człowiek żeni się ze swą narzeczoną albo młoda dziewczyna wychodzi zamąż, za swego narzeczonego po jakiejś katastrofie cielesnej lub finansowej. Więc ten oficer, okaleczony podczas wojny, odnalazł po kampanji

młodą dziewczynę, która mu się obiecała i, dotrzymując zobowiązania, poszła za niego.

Zdało mi się to pięknem, ale prostem, jak zdają się prostemi wszelkie teatralne lub książkowe rozwiązania Kiedy czytamy lub słuchamy, zdaje się nam zawsze, żebyśmy sami poświęcili się z entuzyastyczną przyjemnością, ze wspaniałem wylaniem. Ale na drugi dzień jesteśmy w bardzo złym humorze, kiedy biedny przyjaciel chce od nas pożyczyć kilka franków.

Później nagle inne przypuszczenie, mniej poetyczne i bardziej realne zastąpiło pierwszą hypotezę. Może on ożenił się przed wojną, przed strasznym wypadkiem z tą kulą, urywającą mu nogi, a ona, zrozpaczona i zrezygnowana, musi przyjmować, pielęgnować, pocieszać, podtrzymywać tego męża, który wyjechał silny, piękny, a wrócił z drewnianemi nogami, jak okropna ruina, skazany na bezczynność, na bezsilne gniewy i fatalną otyłość.

Czy był szczęśliwy, czy też męczony? Wzięła mię chęć z paczątku lekka, coraz silniejsza później, nakoniec nieprzeparta, poznać chociaż jej główne punkty, które pozwoliłyby mi odgadnąć to, czegoby on powiedzieć nie mógł lub nie chciał.

— Rozmawiałem z nim i wciąż o tem myślałem. Zamieniliśmy kilka banalnych zdań; ja zaś, z oczyma wpatrzonemi w siatkę, myślałem sobie: „ma troje dzieci; cukierki są dla jego żony, lalka dla jego córeczki, bęben i strzelba dla jego synów, pasztet zaś dla niego samego“.

Nagle zapytałem:

— Czy jesteś pan ojcem?

Odpowiedział:

— Nie, panie.

Uczułem nagle zmieszanie, jak gdybym popełnił coś bardzo niestosownego i rzekłem:

— Przepraszam pana. Przyszło mi to do głowy, kiedy pański sługa mówił o zabawkach. Słyszy się niesłuchając i wnioskuje nieświadomie.

Uśmiechnął się i rzekł:

— Nie, nawet nie jestem żonatym. Zatrzymałem się na krokach wstępnych.

Zrobiłem minę, jakbym nagle przypomniał sobie.

— A, tak jest, byłeś pan zaręczony, kiedym pana poznał, z panną de Mandal, jeśli się nie mylę.

— Tak jest, pańska pamięć jest doskonałą.

Zdobyłem się na niesłychaną odwagę i dodałem:

— Zdaje mi się, żem słyszał, jakoby panna Mandal wyszła za pana... pana...

Spokojnie wymówił to nazwisko.

— P. de Fleurel.

— Tak jest! Tak... nawet przypominam sobie, żem z tego powodu słyszał nawet o pańskim wypadku na wojnie.

Spojrzałem mu prosto w oczy; zarumienił się.

Jego pełna, nabrzmiała twarz purpurowa od ciągłego napływu krwi, zabarwiła się jeszcze bardziej.

Odpowiedział pospiesznie, z nagłym żarem człowieka, broniącego sprawy z góry przegranej, przegranej w swem sercu i umyśle, ale którą przed powszechną opinją chciałby wygrać.

— Niesłusznie wymawiają moje nazwisko razem z nazwiskiem pani de Fleurel. Po powrocie z wojny, niestety, bez nóg, nigdybym nie zgodził się, nigdy, żeby była moją żoną. Czy to podobna? Małżeństwa nie zawiera się dla wystawy szlachetności; człowiek żeni się żeby żyć, całe dnie, całe godziny; wszystkie minuty i wszystkie sekundy obok innego człowieka a jeśli ten człowiek jest jak ja, kaleką, kobieta, wychodząc za niego, skazuje się na cierpienie, które potrwa aż do śmierci! O! ja rozumiem, podziwiam ofiary i poświęcenia, kiedy mają swoje granice, ale nie dopuszczam ze strony kobiety zrzeczenia się radości, marzeń, dla zaspokojenia podziwu galeryi. Kiedy na podłodze mego pokoju słyszę uderzenia mych nóg drewnianych i kul, słyszę ten hałas z każdym moim krokiem, wpadam w taką rozpacz, że zadusiłbym mego służącego. Czy sądzisz pan, że można przyjąć od kobiety chęć zniesienia tego, czego samemu się nie znosi? I czy pan sądzisz, że moje nogi są piękne?

Zamilkł. Co mu odpowiedzieć? Miał słuszność. Czyż mogłem ganić ją, pogardzać nią, lub wogóle utrzymywać, że nie miała racyi? Nie. A swoją drogą, rozwiązanie to, zgodne ze słusznością, z prawdą, z prawdopodobieństwem, nie zaspakajało moich skłonności poetyckich. To bohaterskie kalectwo wymagało jakiegoś wzniosłego poświęcenia; brakło go; uczułem więc przykre rozczarowanie.

Naglem zapytał:

— Czy pani de Fleurel ma dzieci?

— Tak jest, córkę i dwóch chłopców. To dla nich wiozę zabawki. Jej mąż i ona — bardzo są dla mnie dobrzy.

Pociąg przebył tunele, zbliżył się do stacyi, zatrzymał się.

Chciałem ofiarować me ramię i pomódz zejść kalece-oficerowi, kiedy dwie ręce, przez otwarte drzwiczki, wyciągnęły się do uścisku.

— Dzień dobry, mój drogi Revalière!

— A, jak się masz, Fleurel

Za mężem stała żona, uśmiechnięta, promieniejąca, jeszcze piękna, posyłając dzień dobry urękawicznionemi palcami. Mała dziewczynka obok niej skakała z radości, a chłopaki chciwie patrzyli na bęben i strzelbę, które z siatki wagonu przeszły do rąk ich ojca. Kiedy kaleka zszedł na platformę, wszystkie dzieci uściskały go. Później ruszono w drogę, a dziewczynka, przez przyjaźń, objęła swoją małą rączką obwód lakierowanej kuli, tak jak idąc obok niego, mogłaby trzymać w ręku palec swego dużego przyjaciela.

G. M.

Pojedynek we Francji.

Od czasów Richelieu'go prawo walczy z krewką natura obywateli Francji, których nawet kara śmierci chwytania za broń przy byle sposobności oduczyć nie była w stanie. Przeciw lekkomyślnemu narażaniu życia najczęściej w imię źle zrozumianego poczucia godności własnej, daremnie dotąd prowadzono krucjaty; zwyczaj od wieków zakorzeniony trwa w pełni.

Trzy czwarte pojedynków we Francji odbywa się pomiędzy dziennikarzami lub wojskowymi. Między tymi ostatnimi równie częste bywają spotkania na placu pomiędzy oficerami, jak i podoficerami. Używają przedewszystkiem białej broni, przytem tak cięcia, jak pchnięcia są dozwolone. Wśród młodych ludzi wszelkich warstw inteligencji robienie bronią jest koniecznym warunkiem przeciętnego wychowania. Fechtują się kupcy, uczeni, artyści, adwokaci, literaci i t. d. i często cywilni, a nawet, (przykładem pojedynek Floqueta z Boulangerem), najczęściej wprawą w robieniu bronią przewyższają wojskowych. Prawa pojedynkowe obserwowane bywają przytem we Francji z bezprzykładną drobiazgowością. Sekundanci stron rozbierają przedewszystkiem możliwość przyjęcia lub odrzucenia pojedynku, określają warunki, a następnie cały przebieg walki jaknajdokładniej protokolarnie, tak, iż w razie rozsprawy sądowej protokół ten bywa podstawowym dla sędziów dokumentem; prawie zawsze powoduje bezkarność świadków, a w wielu wypadkach i stron. Protokoły powyższe sekundanci, którym bardzo szerokie służą prawa, często ogłaszają drukiem. Szanujący się we Francji dziennikarz koniecznie postarać się musi, co najmniej, o jakie pół tuzina pojedynków, które podnoszą go w oczach kolegów i często ułatwiają karjerę. Gdybyż to przynajmniej w ślad za tą „honornością“ postępowała i moralność prasy?

Zupełne niemal usunięcie pojedynków udało się do tej pory jedynie w Anglji. Biją się wprawdzie Anglicy, ale już tylko po za granicami ojczyzny, w samem trójkrólestwie pojedynków nie spotykamy. „Nieprzyzwoite“ to dla anglika sprawa, no, a dla anglika nieprzyzwoitość, to grzech śmiertelny. Reforma przeszła tu nadzwyczaj szybko, jeszcze w powieściach bowiem Bulwera, Thackeraya i Dickensa spotykamy pojedynki na każdym kroku.

Zasługa to po większej części ks. Alberta, wpływów jego starań, które zdołały sprawy honorowe w krótkim czasie przedzierzgnąć w „nieprzyzwoite“.

A jak dalece nowe poglądy przyjęły się w Wielkiej Brytanji, dowodem ów oficer angielski (kapitan Forster), ktory po odbytym za granicą pojedynku na pistolety na łożu śmiertelnem błagał otaczających go, aby nie wyjawiali rodzinie powodów niesławnej śmierci jego.

Cieniom wieszcza.

O cześć ci wieszczu! Tyś ducha potęgą
Nową pieśń stworzył i podniósł do szczytu,
Tyś nas obdarzył nieśmiertelną księgą,
Zdolną wznieść duszę w krainę zachwytu.

O cześć ci wieszczu, coś od lat zaranku
Tyle ukochał i wycierpiał tyle,
Coś był tułaczem już w życia poranku
I znalazł spokój aż w zimnej mogile.

Cześć ci Adamie — wszak tyś życiem całem
Dowiódł gorącej miłości ojczyzny,
Tyś ją ukochał z poety zapałem
I tęsknił za nią zawsze wśród obczyzny.

Cześć ci Adamie — wszak ty pieśni siłą
Do pracy ducha powiodłeś twój naród,
Co stał zdrętwiały nad Polski mogiłą,
I nosił w piersi swej zwątpienia zaród.

Cześć ci Adamie — twych pieśni lawina,
Tchnąca prostotą, miłością gorąca
Szerzy w świat cały chwałę Polski syna
Swym blaskiem ciemność niewoli roztrąca.

I świat się zdumiał, że z łona narodu,
Co żyje w więzach tak długiej niewoli,
Co żywot splata z klęsk i łez zawodu,
Co zapomniany żyje dziś w niedoli.

Wyszedł mistrz taki, jak tyś jest Adamie,
Zbrojny puklerzem wiary i miłości,
Którego ducha żaden cios nie łamie
Co zawsze stoi na szczycie wielkości.

Tyś światu dowiódł, że Polak nie zginął
Kiedy mu przemoc ojczyznę wydarła,
On żagle ducha tem silniej rozwinął,
Bo wiara w przyszłość w nim nie zamarła.

W pracy duchowej ty mu idziesz przodem,
Pieśnią go wiedziesz w krainę wolności,
A Bóg z twą pieśnią i Bóg z tym narodem,
Co wydał wieszcza i cześć niósł wielkości.

W. B.

Na cześć Adama Mickiewicza.

Zabrzmiały głośno wszystkie miasta dzwony,
Stary, poważny Zygmunt na ich czele,
Dziś wielkie święto, dziś dzień upragniony
I radość w sercu, choć łez płynie wiele.

Dziś rozkosz czujem, choć łza oko słania,
Bo oto w mury Jagiellonów grodu,
Wieszcz nasz powraca z długiego wygnania,
Powraca chluba naszego narodu.

Wielki nasz Adam dziś już między nami,
A przecież na wieść o zdarzeniu takiem
Zapłacze każdy gorącemi łzami,
Kto się urodził Polką lub Polakiem.

Królów popioły zadrżały z radości,
Bo dziś powrócił w ukochane strony
Król naszej pieśni, mąż pełen wielkości,
Co naród kochał, cierpiał za miliony.

By wieszcza uczcić spieszy Polska cała,
Więc i my łączym słabe nasze głosy:
Niech zabrzmi wszędzie jego cześć i chwała,
Niech modły nasze przebiją niebiosy.

On umarł, lecz pieśń jego żyje,
Pamięć z serca nie uleci,
Dopóki tylko polskie serce bije
Żyć będzie wiecznie pośród polskich dzieci

W. B.